

Zbigniew Krzyżkiewicz

Obrazki z Kielc

Studia Muzealno-Historyczne 4, 209-223

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Krzyżkiewicz

Obrazki z Kielc¹

Wstęp

Do napisania obrazków kieleckich zachęciła mnie lektura książek „W starych Kielcach”² i „Wspomnień Szarego”³ oraz tchnące z nich *genius loci*. Formę obrazków krótko opisujących wydarzenia, przyjąłem dlatego, że nie stać mnie na napisanie głębszej i szerszej analizy życia, działalności i sposobów myślenia mieszkańców Kielc w moich czasach. Szersze i głębsze opracowania pozostawiam historykom. Ja ograniczam się do migawek z życia, które udało mi się zarejestrować. Pragnęłam, aby miały charakter szczegółowy i realistyczny. Zdaję sobie sprawę, że wspomnienia, szczególnie dziecięce lub z lat młodzieńczych (bo w tym okresie myślałem w sposób właściwy dla mojego wieku), mają charakter subiektywny.

Założyłem, że opisane tu historie będą w większości moimi własnymi spostrzeżeniami. W przypadku wydarzeń opisywanych na podstawie relacji innych osób zaznaczam to dopiskiem w nawiasach rr (relato refera). [...]

Rodzina Krzyżkiewiczów

Rodzina Krzyżkiewiczów przybyła do Kielc z Jędrzejowa prawdopodobnie na przełomie XVIII i XIX wieku. Mój dziadek Tomasz urodzony w 1830 r. w Jędrzejowie, syn Bernarda i Ludwiki uzyskał w 1856 r. tytuł majstra mydlarstwa. W 1889 r. uruchomił w Kielcach parową Fabrykę Mydła mieszczącą się na terenach po wschodniej stronie ul. Okrzei. Ożeniony z Marianną Jakubowską miał dwóch synów: Bernarda i Wojciecha, mojego ojca. Dziadek Tomasz zmarł 6 maja 1897 r. w Kielcach.

Starszy z synów, Bernard był autorem opracowania „Kielce – ziemia walki i zwycięstwa”. W gimnazjum kieleckim Bernard Krzyżkiewicz przyjaźnił się ze Stefanem Żeromskim, co odnotował Żeromski w swych wspomnieniach. Syn Bernarda, Jan Krzyżkiewicz zginął w Powstaniu Warszawskim. Wojciech Władysław Krzyżkiewicz (mój ojciec), urodził się 20 kwietnia 1880 r. w Kielcach.

1 Maszynopis „Obrazków z Kielc” znajduje się w bibliotece Muzeum Historii Kielc, przekazany w 2011 r. przez p. Zbigniewa Ujazdowskiego za wiedzą autora. „Obrazki z Kielc”, wbrew tytułowi, zawierają wspomnienia autora także z czasów jego zamieszkiwania poza Kielcami, przede wszystkim w Gdyni, oraz z podróży. Wybór, dokonany przez redakcję tomu, obejmuje trzecią część całości tekstu. Do druku wybrano większość rozdziałów, w których spisane zostały wspomnienia Zbigniewa Krzyżkiewicza z lat dzieciństwa, spędzonych w Kielcach oraz z jego drugiego pobytu w mieście w okresie II wojny światowej. Zrezygnowano jedynie z niewielkich fragmentów o charakterze ściśle osobistym oraz z tych partii tekstu, które mają charakter bardzo ogólny i nie przynoszą istotnych spostrzeżeń dotyczących dziejów Kielc i jego mieszkańców. Zachowano oryginalny układ tekstu oraz tytuły rozdziałów. Skrótly oznaczono nawiasami kwadratowymi.

2 J. Jerzmanowski, *W starych Kielcach*, Kraków 1975.

3 A. Heda, *Wspomnienia „Szarego”*, Warszawa 1991.

W 1900 r. ukończył Kurs Buchalterii, Korespondencji i Rachunkowości w szkole H. Chankowskiego przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, a następnie 4 klasy junkierskiej piechotnej szkoły w Petersburgu. W 1900 r. został zatrzymany (wraz z innym mieszkańcem Kielc Janem Rutkiewiczem) w trakcie manifestacji antycarskiej w Warszawie w Al. Ujazdowskich i pobity nahajkami przez Kozaków. Szczęśliwie udało mu się jednak uciec. W tymże roku (aby odsłużyć służbę wojskową) wstąpił jako ochotnik do 5. pułku strzelców w Kielcach. W styczniu 1901 r. jako eksternista szkoły junkierskiej w Petersburgu uczestniczył w rozruchach przy Kazańskim Soborze. W maju 1901 r., wraz z członkiem CK PPS Janem Rutkiewiczem, został aresztowany w Kielcach pod zarzutem organizowania w Spale zamachu na cara Mikołaja II. Z braku dowodów zwolniono go wkrótce z aresztu. Niemniej w związku z prowadzonym śledztwem został usunięty z 5. pułku strzelców. Na jesieni 1901 r. trafił z poboru do 31 pułku dragonów, w którym służył do 1904 r., kiedy to został zwolniony jako chorąży do zapasu kawalerii. W 1905 r. angażował się mocno w działalność PPS. W jego mieszkaniu odbywały się zebrania CK PPS, a także przechowywana była broń i amunicja. 31 grudnia 1905 r. w trakcie agitacji żołnierzy z 21 baterii artylerii został zatrzymany i osadzony na odwachu. W areszcie przebywał do 6 lipca 1906 r., do osądzenia przez Izbę Sądową. Za agitację w wojsku otrzymał wyrok jednego roku twierdzy. Senat pomimo apelacji zatwierdził wyrok. We wrześniu 1907 r. został zesłany do Rosji. Po drodze zatrzymał się w Jekaterynosławiu, gdzie uzyskał prawo pobytu, dzięki wpływowi kolonii polskiej w tym mieście, a szczególnie dzięki Dz. Monkiewiczowi. W Jekaterynosławiu poznał swoją przyszłą żonę. Za specjalnym pozwoleniem vice-gubernatora Jaczewskiego, załatwionym przez znajomych wrócił do Polski w 1909 r. Po powrocie do Kielc był wielokrotnie naczodzony przez ochranę. 12 września 1912 r. Wojciech Krzyżkiewicz wziął ślub w kieleckiej Cerkwi Wniebowstąpienia z Anną Michajliczenko, urodzoną 3 lutego 1883 r. w Nowogupałówce, córką Borysa, protojereja jekatyrnosławskiego, i Marii. Stosunki teścia położyły kres rewizjom. Po wybuchu I wojny światowej w 1914 r. otrzymał z kancelarii wojennego komendanta miasta papiery mobilizacyjne do wojska, które zniszczył. Na początku I wojny dostał się pod rosyjski sąd polowy we wsi Dąbrowa za przyjmowanie legionistów. Dzięki rotmistrzowi 14. pułku ułanów Biezobrazowowi został zwolniony za poręczeniem korpusu oficerskiego tegoż pułku. W Podzamczu, gdzie wyjechał Wojciech Krzyżkiewicz ze względu na chorobę żony, w kilka dni po zajęciu Kielc zjawił się oficer Legionów Semp (Sęp?), któremu Krzyżkiewiczowie przekazali skrzynkę ze srebrami stołowymi na potrzeby Legionów.

Na wezwanie z Sosnowca o pomoc wojsku w marcu 1918 r. Wojciech Krzyżkiewicz zgłosił się na ochotnika do udziału w Powstaniu Śląskim wraz z pięcioma innymi Kielczanami. Pod jego komendą cała szóstka udała się do Będzina i Grodzca, gdzie po dodaniu 10 ludzi obsadzili posterunki od Czeladzi do kopalni Jowisz. Ze Śląska Wojciech Krzyżkiewicz powrócił do Kielc, gdzie zaczął pełnić służbę milicyjną i wartowniczą, jako dowódca oddziału straży ogniowej, która pełniła te obowiązki z powodu braku wojska. Zapamiętałem do dzisiaj, że kiedyś wspomniał, że kilkuset chłopów (strażaków) z toporami w rękach było liczącą się siłą militarną. W 1920 r. Wojciech Krzyżkiewicz wstąpił do wojska jako ochotnik z koniem, rynsztunkiem i uzbrojeniem. Służył w 6. szwadronie 2. Pułku Strzelców w Brześciu, skąd został oddelegowany do 2. Dywizjonu 4. Pułku Strzelców,

w którego szeregach brał udział we wręczeniu buławy Marszałkowi Piłsudskiemu. Jego dywizjon został wysłany do Wilna pod komendę generała Żeligowskiego. Wojciech Krzyżkiewicz pełnił w nim funkcję dowódcy plutonu. Na początku 1921 r. został zwolniony z wojska ze względu na wiek i przeniesiony do rezerwy. Za udział w pracy niepodległościowej Wojciech Krzyżkiewicz został odznaczony w 1931 r. Krzyżem Niepodległości. Jako represjonowany przez władze rosyjskie należał do Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych.

W Kielcach pełnił liczne funkcje m.in. w 1912 r. został naznaczony na tzw. ratmana honorowego przy magistracie Kielc, w 1915 r. został wybrany do Rady Miejskiej, gdzie zasiadał również w 1920 r. Sprawował również funkcję ławnika sądu do strat wojennych.

Przez wiele lat służył w Kieleckiej Ochotniczej Straży Ogniowej (OSO). Wstąpił tam i pełnił funkcje naczelnika oddziału jeszcze przed 1900 r. Po powrocie ze zsyłki powrócił ponownie do służby w OSO. 18 lutego 1917 r. został I-szym pomocnikiem Naczelnika Oddziału III, a 12 października tegoż roku został wybrany na Naczelnika III Oddziału. W trakcie swej służby przechodził liczne szkolenia, o czym świadczą zgromadzone dyplomy. W 1920 r. Wojciech Krzyżkiewicz został delegowany przez Zarząd Miasta do Johstadt w Saksonii w sprawie taboru asenizacyjnego dla Kielc, a w 1929 r. uczestniczył z ramienia OSO w Kielcach w komisji do zbadania stanu bezpieczeństwa Kinoteatru „Odeon” w Dąbrowie Górniczej. 22 listopada 1930 r. z powodu wieku złożył rezygnację z pełnionej wówczas funkcji dowódcy II Oddziału, kontynuując dalej służbę w straży. Za działalność w OSO otrzymał szereg odznak.

Wojciech Krzyżkiewicz działał także w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokol” w Kielcach. Do organizacji tej należała również żona Wojciecha, Anna.

Po przeprowadzeniu się do Gdyni (1934 r.) Wojciech Krzyżkiewicz półtora roku przed wybuchem wojny (25 stycznia 1938 r.) skończył Kurs dla Komendantów i Zastępców Komendantów Obrony Przeciwlotniczej Bloków (Domów) Mieszkalnych zorganizowany przez Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwigazowej (LOPP). Po wysiedleniu z Gdyni w 1939 r. zamieszkał w Kielcach, gdzie zmarł na serce 7 marca 1941 r. Wyprowadzenie zwłok z Ogrójca przy Katedrze Kieleckiej do grobu rodzinnego odbyło się 9 marca o godzinie 16.30.

Po wojnie żona Wojciecha Krzyżkiewicza wróciła do swojego domu w Gdyni przy ul. Serpentina 3. Z zamiłowania kolekcjonowała motyle i ryciny ptaków, a swoje zbiory przekazała w latach 50-tych do szkoły powszechnej nr 7 w Gdyni (kilka gablotek motyli oraz zbiór rycin). Zmarła w 1960 r.

Syn Wojciecha, Zbigniew Bolesław Krzyżkiewicz, urodzony w 1923 r. zamieszkały w Warszawie, jest profesorem zwyczajnym nauk ekonomicznych.

Dzieci z ulicy Dużej 5

Pierwsze moje wspomnienia z podwórza na Dużej 5 to widok gromady 4–6 letnich dzieci, przede wszystkim żydowskich. Było to długie podwórze sięgające od ulicy Dużej do ulicy Wesołej z bramą wyjazdową na Wesołą. W części przylegającej do ul. Dużej było poszerzenie, główne miejsce zabaw dziecięcych. Graliśmy najczęściej w „srulki”. Była to gra zręcznościowa, polegająca na podrzucaniu jednego kamyczka i zbieraniu w tym czasie z ziemi kolejnych. Jednym z tych dzieciaków z ul. Dużej był Berek Szykier. Jego matka prowadziła sklep z czapkami przy ul. Dużej 5 obok sklepu pani Ungier. Natomiast tata Szykier czę-

ściej bywał poza domem, bo siedział w aresztach. Niezależnie od zabaw dzieci żydowskie miały i poważniejsze zajęcia, na przykład zbierały datki na cele gminy żydowskiej. Zdarzyło się, że kolega Majtek, podsunął mi papierową skarbonkę. Gdy szykowałem się wrzucić przygotowany grosik, jego starszy brat widząc to zaprotestował: „On nie ma wrzucać tu grosika” i dodał: „On nie może, bo jest goj”. Poszedłem do ojca zapytać, co to jest goj. Ojciec mi wyjaśnił: „Ty jesteś katolikiem, a te wszystkie dzieci, które tu się bawią to są dzieci żydowskie”. Jedyne Gienka, córka dozorky oraz Maniek Michalski i jego brat, chrześniak mojej mamy, byli dziećmi katolickimi. Pozostałe dzieciaki były Żydami. Ojciec wyjaśnił mi, że nie jestem Żydem i wtedy zrozumiałem, że nie jestem członkiem tej społeczności.

Kiedys porwałem spodnie i po schodach poszedłem wysoko do warsztatu krawca Silbersztajna (nie mylić z kupcem, może byli krewnymi, tego nie wiem): „Panie Silbersztajn ja mam porwane portki” „Oj, Zbiszu, Zbiszu ty musisz uważać jak te portki tak stale rwiesz”. Poglądził się po brodzie, złapał igłę, zszyl spodnie, potem przyprasował żelazkiem na węgiel drzewny, którym machał w powietrzu, żeby go mocniej rozpałić. Innym razem, gdy pobrudziłem portki smołą poszedłem do żony blacharza i powiedziałem do niej: „Bube, ty mi wymyj majtki, bo mama mnie skrzyczy” (Bube znaczyło w jidisz ciotka, a ja wtedy rozumiałem ten język – dziś już zapomniałem). Stara Chaja Fajgenblat, która miała sklep na ulicy Dużej, prawie naprzeciwko księgarni pani Ungier, zabierała mnie do kuczek w żydowskie święto szalasów, gdzie karmiła mnie słodyczami żydowskimi i pieściła.

W bramie przy ulicy Wesolej miał sklep spożywczy Żyd Lejbuś. Pamiętam, że przy jakiejś okazji ojciec go zwymyślał, bo nie płacił komornego. Zwróciłem się wówczas do ojca: „Czemu ty na niego tak krzyczysz? Wyeksmituj go”. A na to ojciec: „Jak mogę go wyeksmitować skoro on ma sześcioro dzieci”. Po dziesięciu latach, gdy wróciliśmy do Kielc po wysiedleniu z Gdyni (koniec października 1939 r.) i zamieszkaliśmy przy ul. Dużej 5, Żydzi mieszkający w tym domu mówili jeszcze do ojca „Panie gospodarzu”, a syn Lejbusia przyszedł zaproponować ojcu jakiś interes związany z fabryką zapalek w Częstochowie. Ojciec nie skorzystał z jego propozycji, ale zapamiętałem dobrą wolę syna Lejbusia.

[...] Muszę podkreślić, że współżycie Żydów kieleckich ze społecznością katolicką układało się poprawnie. Jeśli były jakieś przypadki antysemityzmu to należały do wyjątków.

Ćwiczeniówka

W 1930 r. zostałem uczniem pierwszej klasy ćwiczeniówki przy żeńskim seminarium naukowym, mieszczącym się gdzieś w okolicach ul. Słowackiego, gdyż pamiętam, że chodziłem poprzez Bazary do ul. Słowackiego. W tejże szkole zrobiono nam fotografię, na której figuruję w grupie dzieci obok kolegi Baruszyńskiego, z którym w tym czasie braliśmy się za łby jako najmocniejsi chłopcy. Z tego zdjęcia pamiętam przystojną brunetkę panią Praussową, jedną z naszych nauczycielek. Ponieważ w ćwiczeniówce uczono nas robić szydełkiem słupki, co urażało moją „męską dumę”, poprosiłem więc ojca, by przeniósł mnie do szkoły na ulicę Leśną, gdzie większość stanowili chłopcy, a dziewczynek było zaledwie kilka.

Do ćwiczeniówki przy seminarium nauczycielskim męskim uczyłem się od

drugiej do czwartej klasy. Pamiętam stamtąd kolegów o nazwisku Olbrycht, Fabiański, Fugiński, trzech Żydów: Elenzwajg, Skórecki oraz Krauze, z dziewcząt pamiętam Kozubkównę i jej brata Kozubka oraz Danusię Motalówną. Z nauczycieli pamiętam pana Bartysia, który śmiał się ze mnie, kiedy w trzeciej klasie użyłem zwrotu: „Jak świat światem nie widział czegoś tam”. Śmiejąc się powiedział do mnie: „Przecież ty masz 10 lat i dużo tego na świecie nie widziałeś”. Pamiętam także pana Lachnika uczącego nas gimnastyki oraz pana Stanka, który nauczył mnie podstaw introligatorstwa, m.in. klejenia zeszytów. Moim nauczycielem był też profesor Kamiński, który kiedyś posłał mnie w poblizę szkoły na ulicę Sienkiewicza, żebym przyniósł mu na drugie śniadanie, zamówioną w sklepie żydowskim, bułkę z masłem przekładaną szprotkami, co z dumą wykonałem. Oczywiście tytułu profesor używaliśmy jako wyraz szacunku, bo przecież byli to nauczyciele na poziomie dzisiejszej szkoły podstawowej. Moim wychowawcą był pan Rubik, którego dobrze pamiętam, bo kiedyś odwiedzałem na Słowiku jego dwoje dzieci, moich rówieśników.

[...] W ćwiczeniówce wstąpiłem do wilczków. Nosiliśmy ciemne granatowe spodni i szare bluzy. Kilka lat później zmieniono nazwę na zuchy i wprowadzono jednolite zielone mundurki. Pierwsze spotkania wilczków odbywały się w świetlicy harcerskiej, gdzieś koło Gimnazjum św. Jadwigi. Moim przyjacielem był Maryś Fabiański, z którym byłem na pierwszym dwu lub trzydniowym obozie, gdzieś pod Kielcami. Nocowaliśmy w namiocie, leżąc jak śledzie obok siebie. Dzielił się upieczoną przez mamę słodką bułką, pokruszoną w moim chlebaku. Spotkałem Marysia jeszcze w czasie okupacji. Znacznie później po wojnie, kiedy odwiedziłem Kielce i próbowałem się z nim zobaczyć dowiedziałem się, że już nie żyje. Matka Marysia miała sklep spożywczy na ulicy Niskiej (chyba). Maryś miał starszego brata. Gdy kielecka drużyna harcerska w 1933 r. wyjechała do Gdyni i rozbiła obóz na Polance Redłowskiej nie przypuszczałem, że już za rok będę mieszkał w tym mieście. Komendantem tego obozu harcerskiego był podharcemistrz Franciszek Siuda, na którego ręce złożyłem przyrzeczenie harcerskie.

Kielecka straż pożarna

Pierwszy znany dźwięk dochodzący z ulicy, który słyszałem jako dziecko, to był odgłos dzwonu z wieży straży pożarnej przy ul. Św. Leonarda. Na jego odgłos ojciec szybko się ubierał i wybiegał z domu. Czekałem na jego powrót i podśluchiwałem później jego relacji z pożarów, przekazywanych mamie. Pierwszym wielkim wydarzeniem w moim życiu był udział w uroczystościach powitania Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego przed kościołem garnizonowym w Kielcach przy ulicy Karczówkowskiej. Wśród ustawionych w szeregu strażaków stał mój ojciec, a przed nim ja ubrany w mundurek ułański z czasów Księstwa Warszawskiego, oddający honory Marszałkowi dziecinną szabelką. Miałem wtedy może trzy lata. Piłsudski zatrzymał się i rozmawiał z ojcem, chyba się wcześniej znali, a mnie pogładził po policzku, bo na głowie miałem ułańskie czako.

Później dostałem się pierwszy raz do koszar OSO i remizy ze sprzętem pożarniczym. Jako uczeń ćwiczeniówki często tam gościłem, poznając wielu strażaków. Pamiętam naczelnika straży Karscha i jego adiutanta pana Niklasa, a także mojego krewniaka Ludwika Jakubowskiego i przyjaciela ojca, Ryszarda Borchólskiego. Wspiąłem się kiedyś po krętych schodach na wieżę strażacką i na-

reszcie zobaczyłem dzwon, a z boku w podwórzu trójkondygnacyjną drewnianą wieżę-wspinalnię. Słuchałem pierwszych prób i koncertów orkiestry strażackiej, a także uczestniczyłem w obchodach św. Floriana, patrona strażaków. [...] Gdy w 1941 roku zmarł ojciec, w organizacji uroczystości pogrzebowych pomagali mi strażacy. W tymże roku wstąpiłem do Ochotniczej Straży Ogniowej w Kielcach (Freiwillige Feuerwehr in Kielce). Dowodził nią nieznany mi wcześniej zawodowy oficer pożarnictwa Berezowski. Przynależność do tej organizacji chroniła przed wywózką na roboty do Niemiec, a nawet umożliwiała mi swobodne poruszanie się po dystrykcie radomskim, z czego chętnie korzystałem. Pełniłem służbę co drugą dobę, co było wygodne ze względu na prowadzenie przeze mnie sklepu mojej mamy przy ul. Dużej 5. Kierownikami dobowych zmian straży pożarnej byli: st. sierż. Maj i st. sierż. Szarek, a ja pełniłem w funkcję plutonowego. Jeździłem do pożarów, ćwiczyłem też wspinanie hakówkami na trzypiętrową drewnianą wieżę wspinalni.

Chyba w 1944 r. dowództwo straży objął major Drożdżeński, który przybył z Warszawy, a z nim inni strażacy m.in. jego syn Maciek Drożdżeński oraz Andrzej Karski, z którymi zaprzyjaźniłem się. Przeżyliśmy wspólnie wiele dni poprzedzających wyzwolenie Kielc. Z wieży strażniczej mogłem obserwować radzieckie kukuruźniki i wybuchy w mieście pierwszych bomb zapalających. [...]

Kielecki park i staw

[...] Później jako uczeń ćwiczeniówki często chodziłem do parku, zarówno w lecie jak i w zimie. W lecie frajdą była możliwość popływania łódką, a w zimie zamrożony staw stawał się lodowiskiem, na którym i ja uprawiałem łyżwiarstwo. Miałem wówczas łyżwy „turfy”, z trzpieniem wsuwany do otworu w obcasie trzewika i z ruchomymi, skręcanymi szczękami do zaciskania na bokach zelówki. Nosilem te łyżwy w uczniowskiej torbie wędrując z ulicy Wiejskiej do parku. Starsi chłopcy z pobliskiego gimnazjum zjeżdżali saniami wzdłuż głównej alei od ulicy Bandurskiego, a ja tylko się przyglądałem. W środku parku było wielkie zadaszone podium, na którym jak pamiętam odbyła się kiedyś loteria fantowa. Zaglądałem też z parku w stronę więzienia, wspinając się na mur. Za murem był ogród i budynek mieszkalny, ale nie dowiedziałem się, kto tam mieszkał, co pobudzało mą ciekawość. Wokół stawu biegł deptak, natomiast w miejscu gdzie dobijały łódki był niewielki pomost.

Łaźnia miejska i mykwa

Od dziecka chodziłem z ojcem do łaźni. Każda z takich wypraw, a zwłaszcza powrót stanowiły dla mnie wielką przygodę. Łaźnia miejska mieściła się na końcu ul. Staszica w piętrowym budynku. Z ulicy wchodziło się po schodach na półpiętro, gdzie były szafki, w których zostawialiśmy ubranie. Stąd było wejście do następnego pomieszczenia, w którym były prysznicze i masa nagich mężczyzn, zarówno Polaków jak i Żydów, a w dalszym pomieszczeniu mieściła się parówka, jak ja to nazywałem. Była to mniejsza sala z drewnianymi ławami, ustawionymi schodkowo, na których można się było kłaść w zależności od upodobań do temperatury i ilości pary. Dorośli mężczyźni wlewali do otworu w ścianie skopek zimnej wody. Para buchała stamtąd gwałtownie, powodując otwieranie drzwi do pomieszczenia z prysznicami. Staralem się zawsze wchodzić na najwyższy poziom schodów, po czym schodziłem na dół i siadałem

z głową pod kranem z zimną wodą. W większym pomieszczeniu ludzie się myli. Pracował tam Gawior, kąpielowy. Do dziś nie mogę ustalić, czy to jego nazwisko, czy nazwa funkcji. Po kąpeli i parówce leżeliśmy w sali na parterze, przy pomieszczeniu z szafkami, gdzie przeważnie drzemałem, wypoczywając po wyczerpującej, gorącej parówce. Nad głową słyszałem wodę grającą w rurach w łazienkach mieszczących się na piętrze. [...] Dużą atrakcją związaną z wyprawą do łaźni był powrót. W połowie drogi do domu, idąc ulicą Sienkiewicza, zatrzymywaliśmy się w restauracji pana Stanisława Bilskiego. Była ona miejscem spotkań kombatantów. Nie widziałem tam nigdy tańczących par, widziałem tylko mężczyzn i słyszałem ich śpiewy. O dziwo czasem śpiewali po rosyjsku. Zorientowałem się, że są to kawalerzyści. Zostałem przez nich nazwany ułańskim dzieckiem. [...] Kiedy wróciłem do Kielc, po wysiedleniu z Gdyni w 1939 r., łaźnia była nieczynna. Udałem się więc do mykwy, mieszczącej się w synagodze przy ul. Radomskiej [ob. Warszawskiej]. Gdy wszedłem do pomieszczenia, w którym się znajdował basen do rytualnych kąpeli mój widok wywołał wielką konsternację wśród Żydów. Zauważyłem ich zdenerwowanie i zaniepokojenie, ale po chwili usłyszałem szept: „Krzyżkiewicza syn, Krzyżkiewicza syn” i natychmiast wszyscy się uspokoili. Nie zdziwiłem się tym zaniepokojeniem Żydów wejściem goja do mykwy, wiedząc, że żyli wówczas w ciągłym lęku.

Kieleckie kina

Już w ćwiczeniówce oglądałem filmy w kinie „Palace” i kinie „Czwartak”. Na początku były to westerny. Bohaterów kowbojskich filmów grał aktor Tom Mix. Kiedyś zauważyłem, że kasjerka w kinie wpuszczała na salę żydowskie dzieci bez biletu za opłatą 20–30 groszy. Położyłem i ja swoje 30 groszy, a na to kasjerka: „Kawalerze bilet kosztuje 50 groszy”. Odpowiedziałem jej: „Pani Elenzwajg, pani syn jest moim kolegą w ćwiczeniówce” i wpuściła mnie do kina. Zapytałem ojca jak to się dzieje, że ona może wpuszczać do kina dzieci za niższą opłatą bez biletu. Ojciec mi powiedział, że wpływy z biletów są opodatkowane. Była to dla mnie pierwsza lekcja możliwości obchodzenia przepisów skarbowych. W kinie „Czwartak” obejrzałem patriotyczny film „Dziesięciu z Pawiaka”, opowiadający o niepodległościowej organizacji bojowej z początku XX w. oraz usłyszałem pierwszy raz chór Dana, śpiewający „Flisaków”, co wywarło na mnie niezapomniane wrażenie. Kierownikiem kina „Czwartak” był pan Apel [wł. Appel].

Harcerstwo

Harcerstwo było moją szkołą życia, rozpoczętą w wieku 8 lat od przynależności do wilczków w kieleckiej ćwiczeniówce. Na zbiórkach wilczków, mających przeważnie charakter zabawy, śpiewaliśmy piosenki. Jedną z nich zapamiętałem:

Chlapu, chlapu, chlap,

Deszczyk sobie pada.

Do siostrzyczki przyszedł brat

I tak jej powiada:
„Tyś królewna, a ja król
Pochodzimy sobie,
Wezmę dziadzia parasol
Deszcz nam nic nie zrobi”.

Brałem również udział w poważniejszych zabawach, jaką był KIM. Była to gra wyrabiająca spostrzegawczość. Instruktor układał pod przykryciem na stole różne przedmioty i odsłaniał je na pół minuty, a naszym zadaniem było zapamiętanie nazw, ilości i cech tych przedmiotów. W terenie maszerowaliśmy ze śpiewem, albo bawiliśmy się w podchody. Bardziej skomplikowaną zabawą były biegi na orientację, gdzie trzeba było przebyć określoną trasę, odnajdując po drodze pozostawione znaki i pochowane listy z opisem zadań, które należało wykonać. Gdy zostałem harcerzem (przyrzeczenie złożyłem w 1933 r.) uczestniczyłem w organizowaniu biegów harcerskich dla młodszych kolegów.

W szóstej klasie powszechniaka wziąłem udział w jubileuszowym zlocie harcerskim w Spale. W czasie tego zlotu zastęp, którym dowodziłem, miał postawić w trakcie biegu harcerskiego maszt z lasek harcerskich (mierzących 160–180 cm). Niestety postawiony przez nas maszt runął, co zwiastowało klęskę. Dla rozładowania sytuacji zaintonowałem wtedy żartobliwą piosenkę z refrenem kończącym się słowami „Ojej, ojej” i śmiechem. Byłem pewny, że dostaniemy bardzo niską ocenę za ten bieg. Tymczasem sędziowie-obszernicy wyróżnili nas za nie poddawanie się klęsce. Harcerstwo było przecież wszechstronną szkołą życia. Na tym samym zlocie, kiedy byłem w zastępie służbowym, przypadł mi w udziale obowiązek wymycia dużego kotła. Aby ułatwić sobie zadanie postawiłem ten kocioł w rzece Pilicy i wszedłem do środka. Ku mojemu zaskoczeniu kocioł popłynął wraz ze mną. Wyłowili mnie skauci węgierscy i odstawili do naszego obozu. Powitałem ich okrzykiem „Czuwaj” i przy okazji nauczyłem się ich powitania, które z braku znajomości węgierskiego mogę przytoczyć jedynie fonetycznie: „Joł munkat”. Ponad dziesięć lat później w Budapeszcie wzniosłem taki okrzyk do jednego z pracowników banku. Ten zareagował kładąc palec na ustach i wytłumaczył mi później, że od nastania komunizmu na Węgrzech przestano używać tego pozdrowienia harcerskiego. [...]

Wysiedlenie z Gdyni w 1939 r.

Akcję wysiedlenia mieszkańców Gdyni Niemcy wykonali z zaplanowaną dokładnością i bezwzględnością. Tuż po wkroczeniu do miasta wydali nakaz stawienia się w dniu 14 września wszystkich mężczyzn w wieku powyżej 16 lat. Zgromadzonych na placu segregowano na podstawie przygotowanych wcześniej wykazów zawierających nazwiska osób podejrzanych, ze względu na wcześniejszą działalność lub profesję, o możliwość podjęcia działań przeciwko władzom okupacyjnym. Część mieszkańców przekazano w ręce gestapo, część wysłano do obozów, pozostałych pozostawiono w Gdyni. Ojciec wrócił szczęśliwie do domu, gdyż jego działalność niepodległościowa w Kielcach przed I wojną światową nie była znana na terenie Gdyni. Ja nie musiałem w tym uczestniczyć, bo do ukończenia 16 roku życia brakowało mi 5 dni. Wkrótce jednak jako przedstawiciel rodziny zgłosiłem się do wyznaczonego urzędu by podać docelowe miejsce wysiedlenia. Zamierzaliśmy wracać do Kielc, ale podałem, że udajemy się do Warszawy. Wyznaczono nam termin 26 października i wydano stosowny dokument podróż-

ny. Spakowałem toboły o określonej przez Niemców wadze, zabierając ubrania, pościel oraz niezbędne do życia przedmioty. W przeniesieniu mienia na dworzec kolejowy pomogli nam niektórzy lokatorzy naszego domu, pozostający w Gdyni jako robotnicy, niezbędni do pracy w tutejszych przedsiębiorstwach. Podstawiono wagony towarowe, do których wciśnięto nas i nasze toboły. [...] Z kieleckiego dworca udaliśmy się dorożką na ulicę Dużą. Ojciec, pomimo dokuczającej mu kontuzji odniesionej w Gdyni, poczuł się lepiej na „starych śmieciach” w domu, który kiedyś był jego własnością, zamieszkanym nadal przez starych lokatorów, głównie Żydów. [...]

Kazik

Kazimierza Boreyko-Chodkiewicza poznałem w grudniu 1939 r. Byłem wówczas 16-latką wysiedloną z Gdyni, któremu Kazik zafundował w „Słodkiej Dziurce” kawałek makowca. „Słodka Dziurka” mieściła się w podwórzu (podwórze sięgało od ul. Dużej do Małej) koło cukierni S. Króla, którego znałem jeszcze jako dziecko, z okresu przed wyjazdem do Gdyni. W „Słodkiej Dziurce” można było kupić ciastka po 15 groszy, podczas, gdy w innych cukierniach kosztowały 25 groszy. Przypadliśmy sobie z Kazikiem do gustu i pewnie dlatego, zaprosił mnie do grupy dyskusyjnej swoich rówieśników, maturzystów, z którymi prowadziliśmy dyskusje nad przyczynami klęski wrześniowej. Uczestnikami tych spotkań byli m.in. Jurek Kupski, Szaniawski oraz kolega Kazika, Mietek Sokółowski. Nasza przyjaźń zacieśniała się pomimo dzielących nas różnic: Kazik był po dużej maturze – ja po małej maturze, Kazik był potomkiem historycznego rodu – ja mieszczańskim synem, on utykał na nogę, co powodowało, że nie mógł uprawiać sportów – ja byłem wysportowanym młodzieńcem uprawiającym różne dyscypliny, Kazik skończył liceum matematyczno-fizyczne – ja natomiast miałem zdolności humanistyczne. Łączył nas natomiast logiczny sposób myślenia i precyzja w formułowaniu myśli. Nasze podejście do życia było pragmatyczne i realistyczne. W tym czasie przyjaźniliśmy się z Raciborem Kowalewskim, z którym stanowiliśmy razem nierozłączną trójkę.

Miałem okazję poznania ojca Kazika jeszcze przed uwięzieniem go przez Niemców jako zakładnika. Był on przed wojną sędzią sądu wojewódzkiego (rr), a później prowadził kancelarię adwokacką, która mieściła się przy ul. Mickiewicza, prowadzącej od cerkwi do bazaru. Jako zakładnik trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, gdzie zginął.

Prywatki

W czasie okupacji życie młodzieży kieleckiej toczyło się w prywatnych domach, a nawet przyjęła się nazwa prywatki. Spotkania przyjmowały różne formy: od zebrań dyskusyjnych połączonych z omawianiem wiadomości z nasłuchów zachodnich rozgłośni, czyli rodzaju prasówek, do zwykłych potańcówek. Trzeba jednak podkreślić, że okupacyjne prywatki znajdowały oparcie w przedwojennych tradycjach spotkań kieleckiego społeczeństwa. Ja sam pamiętam kinderbale, na których dokonywano wyboru króla migdałowego – dziecka, które trafi na ciasteczko z migdałem w środku. Natomiast dorośli spotykali się na rautach. Pamiętam też uroczystości strażackie w dniu św. Floriana. W latach trzydziestych jako dziecko uczestniczyłem w takich obchodach na Karczówce. Mama w przebraniu Cyganki wróżyła w namiocie, a w sąsiedztwie rozstawione były bufety. Najwięk-

szą atrakcją dla mnie były mecze drużyn straży pożarnych w piłkę z użyciem węży strażackich i prądownic. Piłka miała średnicę większą od mojego wzrostu i przetaczana była po ciśnieniu strumieni wody z jednej strony boiska na drugą. Przed wojną moja Mama urządziła w naszym mieszkaniu na ulicy Wiejskiej prywatkę dla koleżanek i kolegów z ćwiczeniówki, na której „królowała” Danusia Motalówna.

Po wysiedleniu z Gdyni i powrocie do Kielc włączyłem się w nurt spotkań prywatkowych. Zapamiętałem z 1940 r. prywatkę u Jędrka Czarnockiego, który niestety wkrótce zginął. Odwiedzałem później jego siostry, starszą Krysię i młodszą Myszkę. Brałem również udział w prywatkach organizowanych u Państwa Siesickich i Politów oraz w domu Kazika Chodkiewicza i innych.

Na jednej z zabaw w domu Państwa Chodkiewiczów poznałem Mariana Sołtysiaka czyli „Barabasza”. Podejrzywałem, że jest on w partyzantce, gdyż mój znajomy Tomek Rak, prawdopodobnie jeden z żołnierzy oddziału, dał mi do zrozumienia, że działają, ale nie znałem żadnych szczegółów. Nic więc dziwnego, że Kazik Chodkiewicz, po wyjściu z Warszawy w czasie powstania warszawskiego, dołączył do oddziału „Wybranieckich” dowodzonych przez „Barabasza”, swego kolegi z liceum. Na prywatkach poznałem również narzeczoną – przyszłą żonę Mariana Sołtysiaka. W 1950 lub 1951 r. spotkałem ją w Warszawie. Wspomniała mi, że Maniek „miał kłopoty”, co w tamtych czasach oznaczało problemy z Urzędem Bezpieczeństwa PRL. Uczestniczyłem też na prywatce zorganizowanej w gabinecie kosmetycznym Wery Krajewskiej. [...]

Bochen chleba

Po prawej stronie ulicy Piotrkowskiej w odległości około 100 metrów od Rynku mieścił się sklep spożywczy nazywany popularnie „U Salki”. Znałem dobrze jego właścicielkę. W dniu poprzedzającym utworzenie getta zobaczyłem nadjeżdżającą furmankę zapełnioną ogromnymi, okrągłymi bochenami wiejskiego chleba. Postanowiłem kupić te chleby i dostarczyć do sklepu Salki. W tym dniu Żydzi przenosili lub przewozili furmankami bądź biedkami swoje rzeczy do getta. Panowało wielkie zamieszanie, co wykorzystałem dla sposobu dostarczenia chleba. Zebrałem kilkoro dzieci narodowości polskiej i dając im parę grosiaków powiedziałem, że za dostarczenie chlebów do sklepu dostaną jeszcze słodycze od pani Salki. Dzieci rozumiały, że pomagają tym sposobem prześladowanym Żydom i chętnie podjęły się dzwigania kilkakilogramowych bochenków. Wkrótce sam dotarłem do sklepiku. Salka powiedziała, że przeczuwała, że to ja zorganizowałem tę dostawę, po czym zapytała ile jest winna. Odpowiedziałem, że tyle ile zapłaciłem za chleb, bo nie chcę zarabiać na ich nieszczęściu. Trzeba dodać, że wielu kielczan dostarczało żywność do getta na zasadach non profit, albo regulowało tymi dostawami swoje wcześniejsze długi.

Przed likwidacją getta kilkakrotnie przechodziłem na ten teren od strony ul. Polnej, gdzie w płocie otaczającym getto było kilka ruchomych desek. Zapamiętałem wówczas rozmowę z rodziną Silbersztajnow (kupca z ul. Dużej), którzy znali mnie od dziecka. Proponowałem, że najmłodszemu z nich mogę dostarczyć fałszywą kenkartę i przeprowadzić go na stronę aryjską. Nie chcieli go jednak narażać na ryzyko i choć przeczuwali nadchodzącą śmierć, mieli jeszcze nadzieję, że najmłodsi Żydzi będą potrzebni Niemcom do pracy jako fachowcy. Niestety udało się to tylko wyjątkowym szczęśliwcom. Silbersztajnom nie udało się.

Zamach na Franza Witka

W dniu 6 lipca 1943 r. szedłem w dół ulicą Bandurskiego [ob. Jana Pawła II]. Na wysokości bramy do parku miejskiego zobaczyłem z niewielkiej odległości strzelającego mężczyznę, a po chwili rewidującego leżącego na ziemi nieznane mi osobnika. Kątem oka zauważyłem również dwóch znanych mi chłopców: Błońskiego, ekspedienta ze sklepu mojej mamy, i drugiego imieniem Kazik (nie pamiętam nazwiska), mieszkającego wówczas przy Rynku w pobliżu wylotu ulicy Bodzentyńskiej. Chłopcy ci byli uzbrojeni w jakieś pistolety automatyczne. Stanowili wyraźnie obstawę wykonawcy wyroku. Po chwili cała trójka uciekła do parku miejskiego; nie pamiętam tylko czy przez bramę czy dziurą między sztachetami. Szedłem dalej nie przyspieszając kroku w kierunku wylotu ulicy Wesolej (chyba). Prawdopodobnie ten pozorny spokój pozwolił uratować mi życie, gdyż wkrótce nadjechał samochód z umundurowanymi Niemcami, którzy nie zwrócili na mnie większej uwagi, przepuszczając bez zatrzymywania na drugą stronę ulicy.

W opisach, które czytałem już później, okazało się, że był to zamach na znanego w Kielcach gestapowca Witka. Brali w nim udział wspomniani przeze mnie chłopcy, których nigdzie w relacjach pisemnych nie wymieniono. Błoński pracował w sklepie mojej mamy i w piwnicy tego sklepu z wejściem zamykanym kłapą w podłodze chłopcy ci przechowywali broń i amunicję. Zwróciłem im zresztą wcześniej uwagę, że broń jest niezabezpieczona – pokryta kurzem, a poza tym ostrzegłem, że piwnica łączy się z tunelami wcześniej wykopanymi przez Żydów, którymi ktoś obcy może dostać się do skrytki.

Myślę, że jest moim obowiązkiem wspomnieć o udziale tych dzielnych chłopców w zamachu. Jak się później okazało jego ofiara Witek, agent gestapo, z pochodzenia Chorwat, wykurował się z odniesionych ran pod opieką lekarzy; zabito go znacznie później. Dodam, że usłyszałem w czasie zamachu krzyki Niemców dochodzące z pobliskiego szpitala, co pomogło mi utrwalić w pamięci lokalizację miejsca tego wydarzenia.

Wyzwolenie Kielc

W styczniu 1945 r. wyczuwało się niepokój wśród Niemców wynikający z wiadomości napływających z frontu. Z wieży obserwacyjnej straży pożarnej mogłem obserwować radzieckie samoloty nadlatujące nocą nad Kielce i zrzucające bomby (przeważnie zapalające) na niektóre dzielnice. Z pierwszego poranka po wyzwoleniu zapamiętałem widok brodatych partyzantów chodzących na Rynku przed sklepem Zaroda. Sądząc po sowieckim uzbrojeniu należeli oni do Armii Ludowej lub jakiegoś innego lewicowego oddziału. Przy wylocie ul. Dużej leżał rozjechany przez czołg motocyklista niemiecki. Udałem się do domu. Mieszkanie nie było ograbione, tylko ktoś ukradł butelkę wina przechowywaną na okoliczność wyzwolenia. Mamy wtedy nie było, gdyż wcześniej wysłałem ją do Zagnańska. Pobiegłem więc do znajomej dziewczyny sprawdzić czy jej się nic nie stało i czy jest bezpieczna. Po paru godzinach pojawił się na ul. Dużej znany mi Żyd Szklarz. Zapytany jak udało mu się uchować odparł, że przechowali go dobrzy ludzie.

Dwa dni później byłem pełen podziwu dla kieleckich rzemieślników, którzy uruchomili działalność natychmiast po wyzwoleniu. Kupiłem świeżą kaszankę u Sputy na ul. Dużej i bułkę paryską w piekarni Maciejczaka. Zajadając zakupio-

ne wiktuały na schodach w bramie domu przy ul. Dużej 5 poczułem, że jestem wolny. Po wyzwoleniu przebywałem w Kielcach jeszcze przez rok.

Szklarza spotkałem ponownie w Gdyni, gdzie zajmował duże mieszkanie pełniące jednocześnie, sądząc po zgromadzonym tam towarze, funkcję sklepu – magazynu odzieżowego. Szklarz patrząc na moje sfatygowane odzienie stwierdził natychmiast: „Panie Zbyciu, pan jest tak marnie odziany”. Kupiłem więc od niego bardzo tanio garnitur w lekko fioletowym kolorze i bieliznę, płacąc zaledwie 100 złotych, chyba tylko ze względu na dawną znajomość. Zapytałem go wówczas czy pojedzie śladami syjonistów żydowskich do Izraela, ale odparł, że pojedzie w świat. Zrozumiałem, że woli mieszkać w diasporze niż we własnym państwie narodowym.

Moja Żona

Helena Katarzyna Krzyżkiewicz z domu Jabłońska, herbu Jasińczyk, urodziła się 24 marca 1925 r. w rodzinnym majątku Dziewanowo koło Drobina. Rodzicami jej byli Janusz Szymon Felicjan Jan Złotousty Jabłoński i Krystyna Maksymiliana z Domaszewskich.

Opowiadała mi o beztrojskich latach dzieciństwa, które spędziła wspólnie z braćmi: Stanisławem i Tadeuszem. Jeździła wówczas na kucyku, a później na klaczy Iskrze i strzelała z floweru. We dworze na początku uczyła ją nauczycielka – rezydentka, a później uczęszczała do szkoły powszechnej w Drobiniu. W 1938 r. została umieszczona przez rodziców, podobnie jak wiele dzieci z ziemiańskich domów, w gimnazjum z internatem w Warszawie, prowadzonym przez siostry nazaretanki. Tęskniła w czasie tego pobytu za ciepłym rodzinnym domem. Wybuch wojny zastał ją w Dziewanowie. Wysiedleni przez Niemców z majątku w 1940 r. zatrzymali się w Ołtarzewie koło Ożarowa, w gościnnym domu stryja Stanisława Jabłońskiego i jego żony Ireny. Wkrótce osierociła ją matka (1942 r.), pochowana na cmentarzu w Ołtarzewie. W tym ciężkim dla niej okresie, zaopiekowała się nią czule stryjenka Irena. W 1942 r. Halinka zdała maturę w ramach tajnego nauczania u ss. Nazaretanek.

Od maja 1943 r. należała do Armii Krajowej (pseudonim Hela) w 7. Rejonie „Jaworzyn” Ożarów Mazowiecki VII Obwodu „Obroza”. Zaprzysiężona została w domu dr Antoniego Orsika, (pseudonim Gończa), szefa służby sanitarnej. Najpierw zajmowała się kolportażem prasy podziemnej, a po ukończeniu kursu sanitarnego została sanitariuszką. Pełniła dyżury w szpitalu AK w domu mjr Reklarskiego w Ołtarzewie. W 1944 r. była zatrudniona jako pielęgniarka w Polskim Komitecie Opiekuńczym w Ożarowie. W czasie Powstania Warszawskiego służyła w szpitalu zorganizowanym przez AK w „Hucie Szkła” w Ożarowie.

Jesienią 1945 roku ojciec oddał ją pod opiekę swej znajomej w Łodzi. Tam rozpoczęła studia na pierwszym roku w łódzkim oddziale Szkoły Głównej Handlowej. W latach 1948–49 uczęszczała na Studium Bankowości SGH w Warszawie.

Poznałem żonę na początku 1948 r. [...] W połowie 1949 r. dostałem z NBP przydział mieszkania przy ul. Polnej 3B i mogłem się oświadczyć. Ślub odbył się bardzo szybko 21 września 1950 r. w latach 50-tych Halinka należała do Polskiego Związku Brydża Sportowego. Odnoszenie sukcesów w tej dyscyplinie sportu umożliwiało jej znakomitą pamięć. Pracowaliśmy razem w NBP w gmachu „Pod Orłami”, a później w głównym kompleksie budynków NBP przy ul. Świętokrzy-

skiej. W gmachu „Pod Orłami” pracował z nami stary woźny Widurski. Był on przed wojną osobistym służącym Marszałka Józefa Piłsudskiego, także w czasie kuracji na Maderze i w drodze powrotnej kontrtorpedowcem ORP „Wicher”. Widurski przynosił mi obiady do gabinetu i przy okazji opowiadał o tamtych wydarzeniach. Gdy zmarł, byłem na jego pogrzebie w kościele św. Krzyża.

W Halince ujawnił się atawistyczny ciąg do ziemi, więc po kilku latach kupiłem za jej namową działkę w Topolinie, a potem potrzebny do dojazdów na działkę samochód oraz garaż. Żona wykazała się niespodziewanie talentem do prowadzenia samochodu i robiła to znacznie lepiej ode mnie. Potrafiła bez problemu przejechać wąską alejką w Topolinie i pewnie trafić w ciasne wrota garażu na Powiślu. Na początku lat 60-tych, kiedy pojechaliśmy naszym samochodem, przez Słowik (por. obrazek „Na Słowiku”) do Budapesztu, Halinka prowadziła przez całą drogę. W podróży do Iraku, wraz z naszymi znajomymi państwem Szymańskimi, kierowała samochodem przez część trasy. Lubiła podróżować, a najdalszą podróż, tym razem jako uczestniczka wycieczki zorganizowanej przez biuro podróży, odbyła do RPA na Przylądek Dobrej Nadziei. Wszędzie dawała sobie radę, a tubylcy ulegali jej czarowi i manierom.

Nasze życie toczyło się wokół pracy w banku, mej pracy naukowej oraz pobytów w Topolinie. Oczywiście, jak to bywa w małżeństwie, spieraliśmy się, a nawet kłóciliśmy, ale nigdy nie dochodziło między nami do poważniejszych zatargów. To ja miałem trudny charakter, a ona to jakoś spokojnie przyjmowała i w rezultacie ja się uspokajałem. Miałem w życiu zawodowym szczęście, choć jak mniemam nieskromnie, nie tylko szczęściu zawdzięczam wszystkie swoje sukcesy. Natomiast w życiu osobistym wszystko zawdzięczam szczęśliwemu małżeństwu. Sprawia to moja Halinka i cechy jej osobowości, dając mi poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Dziękuję losowi i Tobie kochana Żono. Dixi.

U schyłku dnia

Początkowo myślałem, że „Obrazki z Kielc” pozostawię jako pamiątkę wyłącznie dla najbliższych mi osób, ale wraz z wydłużaniem się cyklu pisania zacząłem myśleć o udostępnieniu tych zapisków szerszemu gronu czytelników. Pomyślałem o przekazaniu egzemplarza do Muzeum Historii Miasta Kielc. W tym celu uzupełniłem obrazki indeksem nazwisk, co może ułatwić przyszłym czytelnikom ich lekturę. To zadanie będzie należało już do Zbyszka Ujazdowskiego, mego chrześniaka, który pomógł mi spisywać ten quasi pamiętnik. Była to nie tylko pomoc w sensie technicznym, ale również merytorycznym i psychologicznym. Trudno było zmobilizować inwalidę i starca do wysiłku w pokonywaniu słabości własnego ciała. [...] Gdy piszę te słowa jestem 87-letnim starcem, poruszającym się o kulach, ale mówię do siebie „Cogito ergo sum”. Mówię to nie w sensie kartezjańskim, ale w znaczeniu sprawdzania sprawności własnej świadomości i myślenia.

Kim więc jestem jako człowiek:

- z urodzenia jestem Kielczaninem,
- jestem Polakiem i polskim patriotą,
- czuję się obywatelem świata.

Nota biograficzna

Zbigniew Krzyżkiewicz, autor „Obrazków z Kielc”, urodził się 23 września 1923 r. w Warszawie. Jego dziadek Tomasz w końcu XIX w. założył parowę Fabrykę Mydła mieszczącą się w okolicach ul. Okrzei w Kielcach. Ojciec autora, Wojciech, więzień caratu w latach 1905–1909 (rok więzienia i zesłanie do Rosji), uczestnik Powstania Śląskiego, ochotnik wojny 1920 r., za swoje zasługi został odznaczony Krzyżem Niepodległości. Wojciech Krzyżkiewicz, kupiec, właściciel kamienicy przy ul. Dużej 5, aktywnie uczestniczył również w życiu społeczności Kielc, był wieloletnim członkiem Rady Miejskiej i członkiem Ochotniczej Straży Ogniowej, gdzie pełnił funkcje naczelnika jednego z oddziałów.

Autor „Obrazków z Kielc” w dzieciństwie mieszkał w Kielcach, a później w Gdyni, gdzie rodzice przeprowadzili się w 1934 r. W Kielcach rozpoczął swą edukację w ćwiczeniówce, połączonej z przynależnością do harcerstwa. Gimnazjum ukończył w Gdyni tuż przed wybuchem wojny. Jako harcerz uczestniczył w obronie Gdyni w 1939 r. pełniąc służbę alarmową na dachu budynku Komisariatu Rządu. Po wkroczeniu Niemców zorganizował podziemną organizację uczniowską, zajmującą się m.in. zbieraniem i przechowywaniem broni, porzuconej w trakcie kampanii wrześniowej.

Po wysiedleniu z Gdyni w październiku 1939 r. Krzyżkiewiczowie wrócili do rodzinnych Kielc, gdzie zamieszkali w swym dawnym domu przy ul. Dużej. W czasie okupacji Zbigniew Krzyżkiewicz służył w Ochotniczej Straży Ogniowej. We wrześniu 1945 r. zdał w Kielcach egzamin maturalny i wrócił do Gdyni. Studiował na wybrzeżu w Wyższej Szkole Handlu Morskiego, a następnie w Akademii Handlowej w Poznaniu, gdzie w 1950 r. uzyskał magisterium. W 1949 r. przeniósł się do Warszawy.

Od początku swej pracy zawodowej pracował w bankowości. Swą pracę zaczął w XV Oddziale NBP w Gdyni, a następnie pracował w Centrali NBP w Warszawie. Pełnił funkcje Dyrektora Oddziału Wojewódzkiego w Warszawie, członka Zarządu NBP oraz Generalnego Dyrektora Banku Pekao SA. Ostatnie lata swej aktywności zawodowej przepracował w Instytucie Finansów, równocześnie zajmując się pracą dydaktyczną i naukową w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W 1977 r. uzyskał habilitację, w 1982 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w 1989 r. profesorem zwyczajnym nauk ekonomicznych. W latach 1992–1997 był członkiem Rady Naukowej przy Prezisie NBP. Jest autorem wielu prac i podręczników z dziedziny bankowości.

Opr. Zbigniew Ujazdowski

Zbigniew Krzyżkiewicz, Warszawa Kielce Memories

Zbigniew Krzyżkiewicz, author of “Obrazki z Kielc”, was born on September 23, 1923 in Warsaw. The author’s father, Wojciech, was a prisoner of czarism in the years 1905 – 1909, insurgent of the Silesia Uprising; volunteer in the 1920 war awarded Cross of Independence, merchant, owner of a tenant house at 5 Duża Street, member of the City Council and Volunteer Fire Brigade.

In his childhood, Zbigniew lived in Kielce and then in Gdynia, where his parents moved in 1934. In 1939, he organized an underground student’s organization which collected and stored arms abandoned during the invasion on Poland in September 1939.

After being displaced from Gdynia in October 1939, the family of Krzyżkiewicz returned to Kielce, where they stayed in their old house at Duża Street. During German occupation of Poland, Zbigniew Krzyżkiewicz served at the Volunteer Fire Brigade. In September 1945 he passed Baccalaureat examination and returned to Gdynia. He studied at the Higher School of Sea Borne Trade and then at the Academy of Commerce in Poznań. In 1949 he moved to Warsaw.

From the beginning of his career he worked in banking, at the Institute of Finances, and was involved with educational and scientific work at the Main School of Commerce in Warsaw. In 1977, he became an assistant professor and then in 1982 he was nominated associate professor (1982) and full professor (1989) of economics. In the years 1992 – 1997 he was a member of the Scientific Board at the President of the National Bank of Poland. He is the author of numerous articles and handbooks on banking.